

Mała Fatra – cztery dni między skałą a zachwytem 19–22 czerwca

Mała Fatra to takie góry, które już po pierwszym dniu dają do zrozumienia, że łatwo nie będzie, ale za to pięknie – oj, będzie bardzo. Cztery dni wędrowania po tym słowackim paśmie okazały się mieszanką stromych podejść, skalnych cudów natury, potu, śmiechu i nieustannego powtarzania: „ale tu jest pięknie!” – nawet wtedy, gdy łydki mówiły już wyłącznie po swojemu, i to bynajmniej nie zachowując kultury języka.

Pierwsze kroki postawiliśmy w paśmie Śípu – mniej znanym fragmencie gór leżącym tuż obok obleganej, krywańskiej części Małej Fatry, co w praktyce oznacza: mniej ludzi, więcej ciszy i znacznie więcej okazji do przystawania „tylko na chwilę”, która podejrzanie często zamieniała się w dłuższy postój widokowy. I oczywiście fotoplener :)

Śíp to pasmo zbudowane głównie z wapieni i dolomitów, a więc skały są tu fantazyjnie powykręcane, miejscami ostre, miejscami przypominające wykute przez naturę rzeźby nowoczesne. Przewodniki piszą o „malowniczych formach skalnych” – my dodalibyśmy: takich, przy których aparat sam wyskakuje z plecaka i drze się wniebogłosy. Panorama otwierała się co rusz: doliny, lasy bukowe, sosnowe zagajniki, pasma mające na horyzoncie i my – jeszcze świeży, pełni sił i naiwnie przekonani, że „forma będzie trzymać”. Nazwa Śíp pochodzi prawdopodobnie od słowackiego określenia stromych, osypujących się zboczy. Po kilku podejściach uznaliśmy, że to bardzo uczciwa nazwa.

Drugi dzień zaprowadził nas do jednego z największych hitów Małej Fatry – wąwozów Diery. I tu zaczęła się prawdziwa zabawa. Diery to system wąskich kanionów, przez które prowadzą drewniane kładki, metalowe drabinki i stopnie wykute w skale, a wszystko to w towarzystwie potoku, który uparcie płynie dokładnie tam, gdzie my chcemy postawić stopę.

Dolne Diery są jak zaproszenie – „chodźcie, damy radę”. Górne Diery to już inna rozmowa: ściany skalne zwiężają się, wodospady pryskają w twarz, a człowiek nagle odkrywa, że potrafi balansować na mokrej kładce z godnością flaminga. Ale właśnie w tym tkwi ich urok – to turystyka z nutą przygody, bezpieczna, ale dająca poczucie, że coś się przeżywa. Diery powstały w wyniku długotrwałej erozji wodnej w wapiennym masywie. Natura dłużej przez tysiące lat, a my przyszliśmy to obejrzeć w kilka godzin – mało uczciwa wymiana.

Boboty, czyli skalisty grzbiet nad wąwozami, który dane nam było przemierzyć dopełniły dnia ostrymi formami i widokami, które idealnie kontrastowały z zielenią dolin. W nagrodę – kolejne zdjęcia i kolejne „wow”.

Nadszedł dzień trzeci.....Ten dzień zapamiętamy długo. Bardzo długo. Z Petrovej ruszyliśmy niemal pionowo w górę pod Mały Rozsutec – szlak, który w przewodnikach opisywany jest jako „stroma ścieżka”. My nazwalibyśmy go raczej: *test zaufania do własnych płuc, nóg i rąk*. Szlak prawie pionowo pnący się mozolnie w kierunku nieba, obsuwające się pod stopami liście, słońce przygrzewające pomimo baldachimu z buków–wszystko to sprawiało, że skupienie na przetrwaniu było absolutne, a rozmowy nagle zrobiły się krótsze, a w zasadzie niemożliwe z powodu sapania.

Mały Rozsutec to skalna piramida, jedna z ikon Małej Fatry. Już samo stanie na jego wierzchołku daje poczucie sukcesu, a widok na doliny i grań Wielkiego Rozsutca przypomina, że to dopiero ta mniejsza połowa roboty. Łańcuchy, ekspozycja, skała pod palcami to niezapomniany urok tej malowniczej góry. Rozsutce zbudowane są z odpornych wapieni, dzięki czemu zachowały tak charakterystyczne, strome ściany. To jedne z najczęściej fotografowanych szczytów Słowacji – i zupełnie się temu nie dziwimy.

Wielki Rozsutec (1610 m n.p.m.) jest wyższy, bardziej rozłożysty, ale równie wymagający. Panorama z góry to jedna z tych, które zostają pod powiekami na długo: Vrátna, sąsiednie grzbiety małofatrzańskie oraz innogórskie, połączenie lasów i niebo, które zdawało się być na wyciągnięcie ręki. I słońce. W nadmiarze tego dnia.

Dalej w ambitnym planie był Stoh – rozległy, trawiasty olbrzym, który kontrastuje z ostrą sylwetką Rozsutców. Jeżeli gdzieś można złapać rytm marszu i oddechu, to nie na tym szlaku! Niektórzy śmiałkowie niestrudzeni mogli się o tym przekonać na własnej, spalonej słońcem skórze. Na zejście w doliny każdy z nas wybrał trasę mierzoną na siły i zasoby rezerw wszelakich.

Na finałowy dzień wędrowki pozwoliliśmy sobie na odrobinę luksusu – wjazd kolejką pod Chleb. Po dniach stromych podejść było to przyjemne doświadczenie, choć z lekkim poczuciem winy, które jednak szybko minęło. Nazwa „Chleb” według lokalnych podań ma symbolizować „żywiciela” okolicznych dolin – zimą i latem to ważny punkt regionu, zarówno dla turystów pieszych, jak i narciarzy.

Z rejonu Chleba ruszyliśmy w kilku zupełnie przypadkowych grupach w równie przypadkowe kierunki. Część pomknęła zwawo granią na Mały Krywań – szczyt może mniej medialny niż jego tatrzański imiennik, ale widokowo absolutnie pierwszorzędny. Inna ekipa zdecydowała się na spacer granią w drugą stronę – przez Stieny i Gruń. Szeroka grań, przestrzeń, wiatr i świadomość, że to już ostatni dzień – wszystko to mieszało się w głowie w bardzo przyjemny sposób.

Mała Fatra dała nam wszystko, czego można oczekiwać od górskiej wyprawy: przygodę, zmęczenie, śmiech, zachwyty i satysfakcję. To góry, które potrafią być wymagające, ale zawsze uczciwe – każdy wysiłek oddają widokiem, każdą kroplę potu rekompensują przestrzenią.

I właśnie dlatego wiemy jedno: to nie była nasza ostatnia wizyta na Małej Fatrze :)